Rok 1939 28 maja Nr. 22

DZWONECZEK

pod redakcją ELI OLESKIEJ

DZIAŁ DLA MŁODSZYCH CZYTELNIKÓW „DZWONU NIEDZIELNEGO“

ZSTĄP DUCHU ŚWIĘTY!

Rok kościelny, który w grudniu rozpoczęliśmy przedświtowymi roratami Adwentu, dobiegł teraz do wspaniałej, przejasnej chwili Zielonych Świątek.

Na całe dzieło Jezusowe zlewa się jak gdyby morze światłości, która przeniknie i dusze ludzkie, napełni je radością, męstwem, miłością, mocą niezłomną.

Jakeśmy się poddali czarowi Betlejemskiej Stajenki; jakeśmy boleli pod krzyżem Chrystusowym na górze Golgoty; a potem radowali się ze zwycięskiego Zmartwychwstania Pańskiego: tak obecnie — po Wniebowstąpieniu — rozewrzyjmy dusze i serca na ten blask przeogromny, jaki pada na ziemię z Zesłania Ducha Świętego.

Tak nam wszystkim potrzeba światła Bożego!

Tak nam wszystkim trzeba męstwa w bojowaniu naszym ze złem!.

Tak nam wszystkim trzeba rozpalić serca płomieniem miłości, która jedna odmienić może życie na ziemi!

Wszystkim nam, zarówno starszym jak młodym, biednym jak bogatym, uczonym czy prostaczkom, potrzeba owych siedmiu darów Ducha Świętego, bośmy tacy omylni i bojaźliwi, bezradni i nieumiejący, za wiele w sobie samych pokładający ufności i tak mało jeszcze prawdziwie pobożni, tak niewiele Boga i sprawiedliwości Jego się bojący!

Wszyscy zatem zapragnijmy być uczestnikami owej wielkiej, świętej godziny, w której z nieumiejętnych prostaczków, jakimi byli uczniowie Pana Jezusa, tchnienie Ducha Św. uczyniło mężów pełnych mądrości, męstwa i mocy.

Wszak przed tą ich mocą ugiął się cały świat pogański.

A chociaż przed nami nie leżą takie, jak przed nimi olbrzymie zadania, to przecież na wszystkich nas, jako na wyznawcach Chrystusowych, ciąży obowiązek szerzenia Jego świętej Sprawy.

Zatem „apostołami“ właśnie być nam trzeba, „apostołami“ choćby w najmniejszym kółku, w najmniejszym zakresie.

Już dziecko nawet, które czystością swych myśli i słów, uprzejmością, posłuszeństwem, pobożnością, zapałem do modlitwy, daje przykład drugim — staje się prawdziwym „apostołem“.

Zstąp zatem, Duchu Święty, we wszystkie serca ludzkie, we wszystkie umysły nasze, i jasnością Swoją oświeć całe życie na ziemi!

Chcemy być posłuszni Twojemu tchnieniu, chcemy być jaśni Twoim światłem!

E. O.

Ostatnia pieśń majowa

Zdrowaś Maryjo, Zdrowaś Maryjo,
Niepokalana, Śliczna Lilijo,
Ty, co królujesz tam nad gwiazdami,
Do Boga-Syna módl się za nami!

Niedolę naszą znasz. Prośby nasze
Matczynym sercem przyjmujesz zawsze,
Więc z wiarą dziatek prosimy Ciebie,
Daj sił trwać w cnocie, wspieraj w potrzebie.

Niech łódka życia na łez dolinie
Pod Twą opieką bezpiecznie płynie,
Po życia burzach daj spocząć w niebie,
By w wiecznym maju tam wielbić Ciebie!

MARIA BUDZÓWNA
(góralka z Leśnicy koło Szaflar)



Sprawozdanie z zamknięcia konkursu „Dzwoneczka" podamy w numerze następnym z wykazem nagród.



Obie kapliczki pochodzą z okolic pięknej Puszczy Kurpiowskiej.

Jak mewy na morzu utworzyły wyspę

Przed laty trzydziestu była na morzu Północnym pusta ławica piaskowa. Nikt na niej nie mieszkał i jeno tysiące mew zlatywało się tutaj dla wicia gniazd, składania jaj i wychowywania młodych. Ludzie zjawiali się tylko na to, by masowo łowić białe ptaki, których mięso i pierze przedstawiały wielką wartość.

Dziś ławica piaskowa, którą każdej chwili roznieść mogło burzliwe morze, zmieniła zupełnie swój wygląd: stała się prawdziwą wyspą. Widać na niej i łąki i zagajniki i nie ma obawy, by lada fala, czy powiew wichru zmiotły z niej piachy.

Komuż ma to do zawdzięczenia?

Mewom, białym, szerokoskrzydłym, ostrodzióbym mewom.

— Jakto — spyta niejeden.

Ano, tak, że przez długie lata ptaki te, gnieżdżąc się tu w olbrzymich ilościach, dostarczały jałowej ławicy drogocennego nawozu, który z czasem zmieniał jej piachy w warstwę gleby. Na skromnej zrazu warstwie tej gleby już przecież zatrzymać się mogło nasionko przyniesione czy to wiatrem, czy też falą morza. Tak powolutku rozwijać się zaczęło życie, tworzył swe początki świat roślinny.

Pewnego razu zajrzał na tę odludną wyspę skromny wiejski nauczyciel, a zamiłowany i wykształcony przyrodnik-samouk, nazwiskiem Leege. Chciał tu w samym królestwie mew, badać ich życie. — Dzień ten właśnie stał się przełomowym w dotychczasowym istnieniu piaskowej ławicy. Na skutek bowiem starań przyrodnika zabezpieczono ptactwo od dalszego tępienia, powierzając pieczę nad nim specjalnemu strażnikowi. Leege dojeżdżał na wyspę, dla dalszego prowadzenia zaczętych studiów, ale gdy raz zabawił na niej cztery miesiące, by zastąpić strażnika, postanowił już jej nie opuszczać. Sprowadził żonę z paroletnim synkiem, pobudował się i zagospodarował. Od tego to dopiero czasu wyspa Memmert (tak się bowiem poprzednio nazywała już ławica) gości nieznane sobie dotąd konie, owce, świnie, kury, których strzeże — podobnie, jak gdzie indziej na lądzie, wielki kudłaty pies.

Sam twórca tej osady, Leege, pracuje nieustannie nad umacnianiem brzegów wyspy, buduje kanały odpływowe, krzewi wiklinę i inne rośliny, jednym słowem prowadzi dalej pracę rozpoczętą niegdyś przez mewy, w czym one mu w dalszym ciągu pomagają.

Dziwnie płynie życie na tej wysepce. Raz na tydzień dojeżdża do niej łódź motorowa, przywożąc gości ze świata. Memmert bowiem stała się dziś sławną miejscowością, ściągającą ludzi, którzy ciekawi są poznać tak niezwykłą osobliwość. Poza tym połączona jest odludna dawniej ławica z całym światem za pomocą telefonu i radia; nadto samoloty zrzucają jej stale wszelką żywność i pocztę.

Takiej to wielkiej odmiany dokonał zamiłowany przyrodnik, umiejąc wykorzystać naturalną pomoc ptaków, tępionych dotąd niemiłosiernie przez chciwych zysków handlarzy.

Podobnie dzieje się w wielu innych dziedzinach życia, gdy w miejsce na nic niezważających rabusiów, zjawi się człowiek z jakimś umiłowaniem w duszy, z chęcią stworzenia czegoś, co nie tylko da drugim korzyść i radość, ale przyczyni się również do ocalenia dzieła przyrody, czy też pracy ludzkich rąk. Trzeba tylko, aby w takim duchu wychowywała się młodzież, w której sercach — zamiast dzikich instynktów niszczenia, zakiełkowała myśl szlachetna.

Patrol Lwów

wieść z życia obozowego pierwszych skautów polskich z r. 1912.
Napisał Kazimierz Kalinowski. — (Ciąg dalszy).

Ale niestety, wiemy aż nadto dobrze, ilu mamy kolegów z upodobaniem czytających właśnie tych samych autorów, których myśli znajdujemy w liście i których wpływy, zwalczając bezwzględnie nasze jasne poglądy życiowe, robią zabójcze spustoszenia w duszach naszej młodzieży.

— I oto także pole dla skautów — zawołał z zapałem Janusz. — My, harcerze polscy, nie możemy na to patrzeć obojętnie, by tak łatwo od pnia narodowego odrywały się gałęzie, których nam nie wolno tracić. Starajmy się ocalić każdą jednostkę dla pracy wspólnej około budowy lepszej przyszłości, chrońmy od niebezpiecznego, wrogiego, zatrutego tchnienia dusze tych, których nie zdołaliśmy jeszcze pozyskać do swego obozu.

— Wytrwale, lecz łagodnie, powoli zataczać będziemy kręgi swego wpływu — odezwał się Leszek ze spokojem, jakby patrząc w dal przed siebie, jakby tylko myśli swoje wypowiadał głośno. Miłość wszystko może... Myśmy ukochali gorąco i wiarę mamy mocną... Cóż takim potęgom zdoła się oprzeć? Z pewnością powoli zjednamy sobie i tych najoporniejszych, a tak nieszczęsnych w swej męce zwątpienia, tak zaiste pożałowania godnych.

Przez chwilę milczeli wszyscy po słowach swego chorążego, a wokoło szumy złowrogie szły po lesie pod niebem napowrót groźnym, chmurnym, coraz ciemniejszym, jakby co rychlej chciało zatrzeć blaski słoneczne, którym przez kilka godzin zaledwie dało szerzyć radośnie jasność pogodną po świecie.

A po chwili pieśń się podniosła z obozu i w bór mroczny ciskała na fali dźwięków chmurnych słowa, jak gwiazdy błyskające w noc przed okiem wędrowca, słowa wprost z serca wykrzesane:

Zgasły dla was nadziei promienie,
Zwątpień gwiazda majaczy wam blada,
Niby nocnych upiorów gromada,
W blaskach życia krążycie jak cienie.

Dla nas pora świtania już bliska:
Nigdy wiary nie gaśnie nam słońce,
Myśmy znicza nadziei obrońce,
Płoną wśród nas miłości ogniska.

My was przyjmiem z ochotą, jak druhy,
Ogień bratni w obozie zapłonie,
Wam nad głową nasz sztandar powionie,
Jak chłodzące skroń wiatru podmuchy.

Obozowej posłuchać gawędy
Siądźcie z nami dokoła ogniska:
Może iskra, co w mroku zeń pryska,
W noc wam wskaże—iść dalej którędy...

Wtem donośne nawoływanie rozległo się o kilkadziesiąt kroków od obozu. Harcerze zwrócili wzrok w stronę, gdzie pierwszego dnia barierą zagrodzili przejazd przez majdan.

U wylotu leśnej drogi parskały rosłe konie.

— Hop, hop — powtórzyło się.

Leszek pierwszy wybiegł na górkę. Spojrzał bystro. Za barierą stał wysoki, jasny wózek dworski, powożony przez stangreta w liberii zgniłego koloru.

— To ktoś od Łomnickich — szepnął, gdy z wózka zakrzyknął ku niemu głos znajomy.

Zawisza zwrócił się do swych kolegów poniżej stojących w zaciekawieniu:

— Gotujcie się na odwiedziny — rzucił im szeptem i pobiegł żwawo ku powozikowi, z którego zeskoczył już młody chłopiec w eleganckim garniturze sportowym, jakby wprost od krawca wyniesionym, ładnego koloru granatowego, krojem najnowszej mody.

— O, dawnośmy się, Władku, nie widzieli — wołał Leszek, zbliżając się do młodszego od siebie prawie o dwa lata syna sąsiada dóbr Zawiszów, poczem śpiesznie wymijając go, poskoczył do wózka, by z pełnym rycerskości ukłonem przywitać się naprzód z trzema pannami, które do dawnego znajomego wyciągały ręce w lśniących świeżością rękawiczkach.

— A to ładnie, panie Leszku siedzieć tyle czasu w Grzybowie i do Czajek się nie zjawić.

— Ślicznie tak o nas pamiętać...

— Wstyd doprawdy, przecież u nas takie nudy przez te ciągłe deszcze, że po prostu rozpacz z takimi wakacjami na wsi. A tu w najbliższym sąsiedztwie niespodziewanie tylu młodych panów i wszyscy włóczą się po lasach, zamiast nas bawić trochę.

— Skądżeś ty, Leszku, wytrzasnął tylu kolegów, toż to, jak babcię kocham, istny najazd kawalerii na dom stryja-samotnika.

— Bo tu panów musi być chyba cały tuzin, jak sądzę po tym chóralnym popisie.

(Ciąg dalszy nastąpi)